

*Kazimierz Krzysztofek**

Pogranicza i multikulturalizm w rozszerzonej Unii

1. Uwagi terminologiczne

Analizę problemu należałoby rozpocząć od teoretycznego uściślenia, czym jest multikulturalizm. Polski odpowiednik, „wielokulturowość”, pozornie nie nastrocza trudności: chodzi o wielość kultur. Ale wokół rozumienia wielokulturowości toczy się wielki spór, którego antecedencje sięgają bodaj Johanna Godfrieda Herdera. Wielość kultur w tradycji Herderiańskiej to może być tylko statyczne ich współwystępowanie, suma monokultur o silnych granicach między nimi. Kultury są traktowane jako „*kule z własnymi środkami ciężkości*”¹ czy korzenie roślin, z których każda rośnie na własnym gruncie i nie zbliża się do innej.² Z tego powodu to, co nazywamy komunikacją między kulturami, to w istocie tylko wierzchołek góry lodowej. Nawet kontaktując się z innymi kulturami niekoniecznie się z nimi komunikujemy.

Monokulturalizm bywa użyteczny w polityce; wykorzystywany jest w polityce kulturalnej i edukacyjnej jako instrument budowania i konsolidowania państwa narodowego, praktykowany zwłaszcza w krajach, które uzyskały bądź odzyskały niepodległość. Kultura jest traktowana jako zbiorowa pamięć narodu mająca pomóc w przeżyciu jeszcze raz utraconej historii. Elity widzą w kulturze coś, co można społeczeństwu dać na własność, pobudzić ich dumę, poczucie godności. Nierzadkie jest zawłaszczanie czyjegoś dziedzictwa, zwłaszcza na wielokulturowych „kresach”, gdzie normą jest raczej wspólne tworzenie kultury i gdzie nie jest ona niczyją wyłączną własnością i każdy ma prawo umieszczać wybitne postaci w swym panteonie narodowym.

Po drugiej stronie sporu są ci, którzy pojmują wielokulturowość nie tylko jako multi-, ale także jako interpenetrację, przenikanie, czyli interkulturalizm.

* Prof. dr hab. **Kazimierz Krzysztofek** – wykładowca na Uniwersytecie w Białymstoku.

¹ A.Zeidler-Janiszewska, „Kultura”, „kultury”, „transkulturowość”. *Kilka uwag o pojęciach i nie tylko*, Warszawa 1997 (maszynopis powielany), s.166.

² J.G.Herder, *Myśli o filozofii dziejów*, Warszawa 1962.

Blisko tego znajduje się wielokulturowość pojmowana wbrew Herderowi jako transkulturalizm, czyli trwałe połączenie kultur, inkreacja, mająca nieraz charakter hybrydy, z której nie da się wydzielić poszczególnych elementów. Takie rozumienie wielokulturowości budzi jednak niechęć, ponieważ komplikuje problem tożsamości – po prostu nikt nie chce się przyznać do tego, że jest hybrydą; każdy chce mieć swą kulturę na własność i być przekonanym o jej oryginalnym czy wręcz wernakularnym charakterze. Tymczasem jak powiada niemiecki teoretyk kultury Wolfgang Welsch,³ wszyscy jesteśmy „mieszkańcami” i to nie tylko na pograniczach ze swej natury najbardziej płodnych w wielokulturowość. W każdej kulturze można wysledzić tyle wspólnych z innymi elementami, że naprawdę byłoby trudno powiedzieć, iż istnieją w świecie jakieś dwie totalnie odrębne kultury. W takim rozumieniu wielokulturowość to kontinuum, a nie jakieś ściśle granice między kulturami.

Zdaniem Welscha, „*odkrycie i akceptacja przez jednostki ich transkulturowej natury jest warunkiem pogodzenia się z transkulturowością społeczeństwa*”. Nienawiść czy odtrącanie obcych jest – jak to zostało wykazane szczególnie przez psychoanalizę – „*projekcją nienawiści wobec samego siebie (...) I odwrotnie: uznanie w sobie części wewnętrznej inności buduje przesłanki do akceptacji tej inności na zewnątrz. Dopiero właśnie wtedy, gdy nie negujemy już naszej wewnętrznej transkulturowości, jesteśmy zdolni pogodzić się z zewnętrzną transkulturowością*”. Rozszerzając tę psychoanalityczną konstatację można stwierdzić, że granice kulturowe „my-oni” ułożone na zewnątrz nas są przedłużeniem takich granic w nas. To ukryty wymiar naszej tożsamości.

2. Polityka i modele zarządzania wielokulturowością

Żyjemy w społeczeństwach o niespotykanej przynajmniej w nowożytnej historii – czyli od początku państwa narodowego – skali różnorodności etnicznej i każdej innej.⁴ Szacuje się, że na ponad dwieście państw globu zaledwie 20 z nich (10%) to państwa monoetniczne. Jedną z cech konstytuujących Europę jako formację kulturową jest maksymalizacja różnorodności na niewielkiej przestrzeni. Dlatego w większości państw multikulturalizm jest poważnym problemem politycznym, nieraz „gorącym kartoflem”. A każdy poważny problem polityczny implikuje potrzebę poszukiwania rozwiązań; stąd kariera nowej wiedzy i umiejętności „zarządzania wielokulturowością”,⁵ a znający tę sztukę stają się cenionymi i poszukiwanymi specjalistami.⁶

³ W. Welsch, *Transculturality. The Changing Forms of Cultures Today*, 1997 (maszynopis).

⁴ K. Michalski, *Trwoga śmierci, trwoga życia*, wywiad dla „*Życia*”, 29-31.03.1997.

⁵ J. Dacyl, *Management of Cultural Pluralism in Europe*, UNESCO, Paris-Stockholm 1995.

⁶ P. Daswani, *La gestion du pluralisme culturel en Europe*, UNESCO, Paris 1994 (materiał powielany).

Jakkolwiek rozumieć wielokulturowość, nigdzie na świecie problemów z nią związanych nie udało się w pełni rozwiązać przez skuteczną politykę, choć imano się różnych sposobów – od bardzo okrutnych, barbarzyńskich po bardziej humanitarne. Generalnie można stwierdzić, że wielokulturowość bywała z reguły źródłem konfliktów, kiedy problemami z nią związanymi zajmowali się politycy.

Scharakteryzujmy pokrótce te strategie:

Fizyczna likwidacja mniejszości, czyli wyniszczenie grupy konkurującej o to samo terytorium. Metody te, niekiedy ocierające się o ludobójstwo, stosowane były w całej historii i są praktykowane jeszcze dzisiaj (przykładów na to dostarczała jeszcze niedawno wojna w byłej Jugosławii). Ten model jest psychologicznie prosty: „odmienny – dziwaczny – niepokojący (nienormalny) – zagrażający – wróg”,⁷ kwalifikujący się do likwidacji.

Czystki etniczne, stanowiące formę łagodniejszą, oznaczającą ekspulsję słabszej, niekoniecznie mniej licznej grupy, ze wspólnie zajmowanego terytorium. Model psychologiczny jest tu podobny, ale końcowy efekt łagodniejszy niż w poprzednim. „Odmienny” oznacza: kwalifikujący się do ekspatriacji poza „nasze terytorium”. Tego nie wymyśliła nowoczesność (deportacje Żydów z Europy Zachodniej zaczęły się w Średniowieczu), ale niejako ją usankcjonowała, gdy tworzyła państwa narodowe typu „plemiennego” i nowoczesny nacjonalizm dążący do zrównania granicy politycznej z kulturową. Średniowiecze nie знаło jednak takich pojęć jak ekspatriacja, impatriacja czy repatriacja, które w czasach nowożytnych zyskały prawo obywatelstwa od czasu, gdy własne terytorium państwowe traktowano nieomal jak sanktuarium. Tkwiło w tym założenie, że państwo powinno być etnicznie jednorodne, czyli że człowiek nie ma ojczyzny tam, gdzie wyrósł w swojej mniejszościowej kulturze, a tam, gdzie jego naród historyczny ma swe terytorium państwowe. Dla pogranicza nie było racji bytu. To nie odnosiło się jednak do tych mniejszości (np. Romów), które nigdy nie były uznawane za część historycznych narodów. Puryfikacje etniczne były standardem w państwach totalitarnych XX wieku (by przypomnieć praktyki hitlerowskie lub stalinowskie). Natomiast wypędzenie czy przesiedlenie Niemców z obecnych ziem zachodnich Polski dokonywało się na mocy traktatu międzynarodowego.

Asymilacja, czyli przymusowa integracja z pozbawieniem mniejszości trzech uznanych dziś za standardowe praw: do języka, do kultury, często także do nazwiska. Łatwiej wchodzi w wielokulturowość elity, od nich zresztą najczęściej się ona zaczyna; niższe warstwy są bardziej odporne, to one właśnie

⁷ D.Markowska, *Komunikowanie międzykulturowe a wizerunek obcego*, referat na Sympozjum Studentów i Młodych Pracowników Naukowych, Zielona Góra, kwiecień 1995, s.2.

przechowują tradycję, „kulturę z pamięcią kształtu”. Asymilacja z antropologicznego punktu widzenia to odmówienie prawa do inkulturacji we własnej kulturze rodzimej oraz narzucenie inkulturacji w kulturę dominującą. Model psychologiczny jest tu następujący: „*odmienny – na niskim poziomie kultury – wymagający edukacji (reorientacji) – wyedukowany (zreorientowany – kulturalny (upodobniony do nas) – akulturowany*”; czyli „nasz”.⁸ Atrakcyjność i powszechne stosowanie tego wzoru przez państwa narodowe brały się z bogatych doświadczeń nawracania wypraktykowanego przez kościoły, zwłaszcza katolicyzm. Oczywiście, nie brak było w historii przypadków dobrowolnej asymilacji, wynikającej z siły i atrakcyjności kultury przyjmującej.

Inne są wzory asymilacji w państwie etnicznym opartym na wspólnym pochodzeniu, a inne w państwie cywilnym, bazującym na wspólnym obywatelstwie. Asymilacja mniejszości jest normą w państwach niedemokratycznych, w których jest ona formą dławienia inności jako potencjalnego źródła irredenty. W państwach socjalistycznych dopuszczano jedynie folkloryzację tradycji mniejszościowych, natomiast każdy przejaw autentycznych uczuć narodowych spotykał się z zarzutem „recydywy nacjonalizmu”. Reżimy niedemokratyczne nie mają jednak monopolu na taką strategię polityki narodowościowej; często jest ona realizowana także w krajach demokratycznych; zdarza się jeszcze i dziś, że państwo obywatelskie zachowuje się jak etniczne w sposobach asymilacji, choć ma ona na ogół łagodniejszą, cywilizowaną postać (bogate tradycje ma w tym zakresie Francja).

Można sobie pozwolić na prognozę, że im większe będą w Europie czy gdzie indziej skupiska imigrantów – a obecne tendencje wskazują, że będą coraz większe – tym polityka asymilacji będzie mniej skuteczna. Nikt nie chce być dziś bowiem akulturowany, każdy pragnie inkulturacji w kulturę rodzimą. Nawet w rodzinach dwukulturowych zauważa się dziś, że bliskie związki międzyludzkie – czy mogą być bliższe niż w rodzinie? – często utwierdzają ludzi w swym poczuciu tożsamości i rzadko prowadzą do powstawania „trzeciej kultury”.

Usankcjonowany pluralizm etniczny, czyli realizacja liberalnej zasady „żyj i pozwól żyć”, będący tradycją anglosaską (*live and let live*). Zapewnia ona znaczny zakres swobód, ale na ogół nie promuje integracji społecznej, wręcz przeciwnie, często prowadzi wspólnoty etniczne do wyłączenia ze społeczeństwa obywatelskiego czy wręcz do ich gettoizacji, statusu bantustanu, podklasy, faktycznego apartheidu. Tak się dzieje na poziomie „dołów społecznych”, gdzie „etniczny” znaczy „biedny”. Im niżej w hierarchii społecznej, tym mniejsza wolność wyboru, ale wchodzenie do elity wiąże się z reguły z przejęciem kultury większościowej. Model psychologiczny: „odmienny: jego sprawą jest

⁸ Ibidem.

jak żyje – niech jednak nie rekomenduje nam swej odmienności”. Jest to tolerancja, ale raczej mająca charakter „znoszenia” czy też „pozytywnej cierpliwości”.⁹

Integracja obywatelska z poszanowaniem „prawa do różnicy”. To jest postulat niemal wszystkich formułowanych dziś modeli pożądanego multikulturalizmu obecnych w dokumentach międzynarodowych: ONZ, UNESCO, Rady Europy i Unii Europejskiej. Rekomendacje w nich zawarte są zalecane jako najwyższy i najbardziej „politycznie poprawny” standard demokracji, która chce uczynić ludzi obywatelsko równymi nie czyniąc ich jednak kulturowo podobnymi.

Model psychologiczny „poprawnego politycznie” multikulturalizmu jest inny od poprzednich: nie chodzi w nim o tolerancję jako „pozytywną cierpliwość” wobec „innego”, lecz o *human fellowship*: „odmienny – interesujący – stymulujący (fascynujący) – pomocny w rozumieniu człowieka, otoczenia i świata – potrzebny – przyjaciel”.¹⁰ „Inny” jako swój mieści się tu w „my” inkluzywnym.

Spójrzmy na Europę: konieczność stawienia czoła alternatywie kulturowej (to jest wyboru między własną etnicznością a kulturą dominującą) była zawsze wielkim problemem społeczeństw europejskich od czasu powstania państw narodowych: szanse życiowe, a nieraz samo przeżycie, zależały w bardzo wielkim stopniu od przyjęcia dominującej kultury większościowej, z religią na czele.

Postulat: „integrować obywatelsko, ale nie unifikować kulturowo” brzmi atrakcyjnie, ale przy dzisiejszej dojrzałości społeczeństw w zakresie wielokulturowości jest bardzo trudny w realizacji.¹¹ Problem generalnie sprowadza się do tego, czy da się pomieścić multikulturalizm w wyewoluowanym historycznie standardzie demokracji zachodniej i czy ten standard może być jeszcze zachodni.

Do kategorii truizmów należy zaliczyć stwierdzenie, że demokracja wymaga standardów aksjonormatywnych. Łatwo o nie było, gdy sfera *governance* spoczywała w rękach górnych kilkunastu procent społeczeństwa, jak w Stanach Zjednoczonych, gdzie o ustroju decydowali biali anglosascy protestanci, mężczyźni, właściciele nieruchomości, zajmujący się handlem czy przemysłem. Reszta była wyłączona ze względu na cenzus wieku, płci, majątku, nieraz wykształcenia. Do sfery *governance* mogli dołączyć ci, którzy osiągnęli odpowiedni status i przyjmowali obowiązujące normy.

W Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych doszło w XX wieku do tak znacznego rozszerzenia formuły demokracji, że pomieścili się w niej

⁹ O.Schlette, *Zum Thema der Toleranz*, Hannover 1979.

¹⁰ D.Markowska, op.cit.

¹¹ Por.: M.Shudson, *Culture and the Integration of National Societies*, „*International Social Science Journal*”, February 1994.

wszyscy dorośli obywatele bez względu na płeć czy cenzus majątkowy. Ale wtedy sprawy zaczęły się komplikować – nowe *universum* demokracji musiało pomieścić ludzi z innym wyposażeniem kulturowym. Prowadziło to do dwóch skutków: z jednej strony wspomnianej ekstensji normy, z drugiej zaś wzmożenia pedagogiki obywatelskiej, aby „nowych przybyszów” włączyć w obowiązujące ramy demokracji. Ta pedagogika musiała przy wielkich masach ludzkich przybierać postać manipulacji.

Dojrzałe demokracje uporawszy się z pierwszą inkluzją wyłączonych (kobiet, biednych, niewykształconych) stanęły dziś wobec problemu włączenia nowych przybyszów. Tytuł książki J.Ch.Ruffine: *L'empire et les nouveaux barbares (Imperium i nowi barbarzyńcy)*¹² nawiązujący do losu późnego Rzymu zagrożonego barbarzyńcami z północy metaforycznie, ale niedwuznacznie sugeruje, że Europa stoi dziś w obliczu podobnego dylematu. Problem komplikuje ekspansja demograficzna „Nowych Europejczyków” (Turków, Arabów, Kurdów i innych) żyjących w Niemczech, Francji, Holandii czy Wielkiej Brytanii, w wyniku której w ciągu życia jednego pokolenia będą to całkiem znaczące mniejszości. Jeśli chce się utrzymać państwo narodowe (nawet w kształcie obywatelskim oparte raczej na więziach politycznych niż etnicznych) to trzeba być ostrożnym w eksperymentowaniu ze standardem demokracji, którego nadmierne rozszerzenie mogłoby ją unicestwić. Kurczowe trzymanie się europejskiej normy, cokolwiek ona oznacza (wartości republikańskie, świeckość, racjonalizm itp.), zmusza do asymilacji nowych przybyszów, ale to dziś mało komu w skali zbiorowej się udaje, bo każdy chce mieć własną „narrację”, znaki rozpoznawcze i prawo do samoportretowania się poprzez kulturę.

Centralnym problemem Unii Europejskiej staje się zatem osiągnięcie stanu, w którym integracja obywatelska ludzi z różnych kontekstów kulturowych da się pogodzić z dezintegracją czy dyferencjacją kulturową, czyli zachowaniem własnych kanonów. Wielu Europejczyków wierzy w szansę obywatelskiej integracji bez narzucania jednej normy kulturowej, co dziś nie jest zgodne z pryncypiami tolerancji i praw do kultury. Nadzieje pokłada się w tym, że kultura się uniwersalizuje i czas będzie pracował na korzyść przyjmowania wspólnych standardów. Oponenti powiadają jednak, że coraz trudniej będzie można żądać od innych przyjęcia modelu kultury, która znajduje się w kryzysie, w stanie „wyczerpania”. Można się zatem obawiać, że integracja obywatelska przy zachowaniu różnorodności przypomina kwadraturę koła. Nie da się pomieścić w jednej normie demokracji republikańskiego Francuza i integrystę muzułmańskiego, który uznaje za całkiem normalne utrzymywanie tradycyjnego statusu kobiety w nowoczesnym społeczeństwie; ba, godzi się nawet na

¹² J.Ch.Ruffine, *L'empire et les nouveaux barbares*, Paris 1993.

barbarzyński dla Europejczyka proceder ekscyzji (obrzezania dziewcząt), co zdarza się w muzułmańskich suburbiach Paryża, epicentrum republikanizmu. Niedawno Szwecją wstrząsnęła tragedia 26-letniej Fatimy, córki emigrantów kurdyjskich, która zerwała z rodzimą tradycją, postanowiła się związać z etnicznym Szwedem. To nie mieściło się w kurdyjskim kanonie kulturowym i skłoniło ojca dziewczyny do zabicia własnej córki.

Podobne przypadki, którym towarzyszą także inne okoliczności, przede wszystkim ekonomiczne (strach przed cudzoziemcami, konkurowanie o ograniczone dobro, jakim jest praca) przysparza głosów partiom prawicowym i nacjonalistycznym, które chcą, jeśli nie pozbycia się imigrantów, to przynajmniej znacznego ograniczenia ich dopływu. Ma to miejsce nawet w krajach uchodzących za najbardziej tolerancyjne, jak państwa skandynawskie i Holandia.

Niebezpieczeństwo relatywizacji demokratycznej normy jest oczywiste. Równie oczywiste jest jednak, że nie da się narzucić jednego standardu obywatelstwa wielokulturowym zbiorowościom, na przykład w suburbiach wielkich metropolii europejskich, które to suburbia w paryskim *banlieu* nazywa się niekiedy „*fins de territoires*”,¹³ czyli swoistymi „kresami wielkomiejskimi”. Anomia społeczna zaszła już tu tak daleko, że *banlieu* staje się niezmiernie skomplikowaną przestrzenią społeczną i administracyjną. Atrofia więzi skutkująca zanikiem kontroli grupy nad jednostką wymusza potrzebę zwiększonej kontroli zewnętrznej (na przykład na 10 tys. mieszkańców potrzeba tu kilkakrotnie więcej policjantów niż w zbiorowościach nie dotkniętych anomią). Wniosek jest oczywisty: jakakolwiek forma więzi jest lepsza niż jej brak; bowiem człowiek nie uczestniczący w życiu swej wspólnoty nie uczestniczy w niczym, nie biorąc za nią odpowiedzialności nie bierze jej za nic. Stąd dojrzewa świadomość, aby nasycać kulturą takie zbiorowości m.in. poprzez wzmocnienie inkulturacyjnej i socjalizującej funkcji grup pierwotnych, zwłaszcza rodziny (przypomina to nieco produkcję wody „Bonaqa” przez koncern Pepsico: najpierw destyluje się wodę ze wszystkich związków chemicznych, aby uwolnić ją od metali ciężkich, po czym resaturuje się pożytecznymi solami mineralnymi). Za to się płaci pewne koszty: zwiększa się wprawdzie skala mikrointegracji, ale nie przyczynia się to do budowania pomostów między wspólnotami różnokulturowymi.

Ułożenie relacji między kulturą większościową i mniejszościowymi określi na przyszłość model współżycia etnicznego na obszarze Unii Europejskiej. Wiele zależy od tego, na ile zmieni się mentalność. Jak na razie stare pojmowanie narodu jest niechętnie przyjmowane przez tych, którzy porzucali swe ojczyzny, stając się obcymi wśród obcych.¹⁴

¹³ M-A.Laulan, *Fins de territoires*, Paper presented on the International Conference Overlapping Cultures and Plural Identities, Vienna, 22.09.1997.

¹⁴ B.Świdorski, *Kłopoty użytkownika demokracji*, „Gazeta Wyborcza”, 29-30.07.2002.

Kluczem jest tolerancja, ale ona zastawia pewne pułapki, jak umniejszanie wartości własnej tożsamości pod hasłem tolerancji. Z doświadczeń holenderskich wynika, że takie supertolerancyjne społeczeństwo zniechęca przybyszów, ma ono bowiem mało do zaoferowania. Nie pielęgnuje ono związków z własną historią, tymczasem kraj wielokulturowy powinien krytycznie, ale poważnie traktować swoją historię. Kto nie potrafi nawiązać dialogu ze swoimi przodkami, nie nawiąże dialogu ze współczesnymi innymi, straci szanse wniknięcia w inne kultury. Dzieci imigrantów, jeśli chcą być społecznie zintegrowane z krajem, w którym żyją, powinny zachowując język i odrębność uczyć się jego historii, gdyż większość z nich pozostanie w tym środowisku na długo, często na całe życie. Jednostronne przywiązanie do odziedziczonej tożsamości etnicznej przybyszów, a zwłaszcza ich dzieci, niesie ryzyko zwiększenia nierówności i grozi tym, że dzieci wychowując się w odrębnych światach tracą zdolność do integracji z otoczeniem. Nie chodzi o asymilację, nikt nie musi ukrywać swego pochodzenia. Słowem, przetrwanie społeczeństwa otwartego wymaga wyznaczenia granicy relatywizmu i pluralizmu.¹⁵

Kraje Unii, zwłaszcza północnoeuropejskie, zafundowały sobie sprzeczność: z jednej strony ich rozwijające się po wojnie gospodarki potrzebowały taniej siły roboczej w osobach imigrantów, którzy byli odporni na integrację. W którymś momencie zaczęło to jednak komplikować zarządzanie społeczne. Towarzyszyło temu złudzenie, że nic im nie może zaszkodzić; funkcjonowała powszechna wiara w automatyczny pokój społeczny, zbawienne skutki tolerancji i wolności. Niewzruszone, zdawałoby się, filary społeczne zaczęły się jednak chwiać. Na poziomie Unii można uchylać dyrektywy i rekomendacje w kwestii współżycia międzyetnicznego, ale to problemu nie rozwiąże. Nadal potrzebne jest państwo, które stworzy warunki dla demokracji, solidarności i tożsamości.

Europejska w rodowodzie demokracja wypływa z właściwej dla Europy percepcji wolności, praw jednostki i indywidualizmu – od *Magna Carta Libertatum*, przez *Neminem Captivabimus*, francuską Deklarację Praw Człowieka i Obywatela aż po Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Ten ostatni dokument przyjęty przez ONZ, organizację o ambicjach uniwersalnych i opatrzony przymiotnikiem „powszechny”, wypływał z zachodniego rozumienia wolności i demokracji, która istniała w krajach będących w większości fundatorami Deklaracji. Zapewne wierzone w to, że kolonializm tak zokcydentalizował większość społeczności pozaeuropejskich, że przejście standardu jest tylko kwestią czasu.

Miało się jednak okazać, że przez okres już ponad półwiecza istnienia Deklaracji wkładano w pojęcie praw człowieka różną treść. To, że w większości krajów pozaeuropejskich włączano jej zapisy do porządku konstytucyjnego nie

¹⁵ P.Schefer, *Uwaga: ta łódź jest pełna*, „Gazeta Wyborcza”, 6-7.04.2002.

wynikało tylko z deklaratywnego obnoszenia się z wysokimi standardami, ale także z przekonania, że te zapisy są przestrzegane, choć niekoniecznie na sposób zachodni. Można dziś powiedzieć, po doświadczeniu ostatniej dekady, że formalno-proceduralne standardy demokracji na świecie zbliżyły się do siebie (podobne techniki wyborcze, legalna opozycja itp.), natomiast nie zbliżyły się do siebie standardy wolności, praw człowieka, relacji jednostka-wspólnota i obywatel-władza, roli religii w społeczeństwie, pojmowania społeczeństwa obywatelskiego.

3. Naród – multikulturalizm – integracja

Problem narodu powiązany z rosnącą wielokulturowością społeczeństw będzie jednym z centralnych w Europie. Integrujące się państwa narodowe stają w obliczu redefinicji swych strategii multikulturalizmu, dotychczasowe bowiem okazały się (o czym już była mowa) mało skuteczne. To, że w ogarniętej w latach 90. wojną etniczną byłej Jugosławii sięgnięto po najbardziej zbrodniczy sposób rozwiązywania problemów multikulturalizmu jest najnowszą traumą Europy i zarazem swoistym potwierdzeniem nieskuteczności wspomnianych strategii, z których każda mogła być w Jugosławii „lepszym złem” niż etniczne jatki.

Jakie są tego konsekwencje? Najważniejszą wydaje się erozja narodu obywatelskiego i wzmacnianie się narodów etnokulturowych. Niekiedy może to być tworzenie się mniejszych plemion w ramach narodów etnicznych. W Bawarii można usłyszeć: skoro Turek może być niemieckim *Burger*, to ja nie muszę być Niemcem, wystarczy, że będę Bawarczykiem, a Turek nigdy nie będzie Bawarczykiem. Nieco inny jest przypadek Padanii – tu „mniejsze plemię” nie chce się dzielić z biedniejszymi grupami „wielkiego plemienia” włoskiego. Tę potrzebę tożsamości jako odrębności wzmacniać będzie paradoksalnie rosnący multikulturalizm społeczeństw, może w największym stopniu europejskich, który skłania do zadawania pytań o sens własnej kultury.

Drugim czynnikiem konsolidacji plemienności jest – co znamienne – integracja europejska zmieniająca naturę i rolę państwa narodowego. Niejednokrotnie w nowszej historii prorokowano zmierzch narodów bądź to z pozycji klasowej solidarności (klasyki marksizmu), bądź też, jak w drugiej połowie XX wieku, w wizjach uniwersalizacji kultury, która miała zneutralizować agresywne nacjonalizmy. Te przepowiednie okazały się jednak nietrafne, czego dowiodła ekspansja nacjonalizmów w Europie po pierwszej i w trakcie drugiej wojny światowej, a także po *Annus Mirabilis*, jakim był rok 1989. Nie zmienia to faktu, że w skali historycznej następuje jednak erozja państwa narodowego, co mieści się w nurcie słabnięcia realnego znaczenia struktur formalnych i wzrostu znaczenia struktur naturalnych: wspólnot kulturowych.

Dzieje się tak, zwłaszcza w Europie, m.in. za przyczyną procesów integracyjnych, które osłabiać będą państwo i jego atrybuty z granicami politycznymi włącznie, a wzmacniać *limes* kulturowe. Bo jeśli nie będzie walut narodowych, paszportów i strażnic granicznych, to kultura będzie twarzą, po której wspólnoty ludzkie będą rozpoznawalne. W Polsce spoistość państwowo-narodowa także ulegnie osłabieniu, będą się ujawniać wewnętrzne linie kulturowe i siły grawitacji. Historyczne przestrzenie kulturowe przemieszczane politycznie będą mocą praw dyfuzji wracać na swoje miejsce i ten proces będzie obejmować także Polskę przemieszczoną na Zachód przede wszystkim politycznie, a mniej kulturowo (mimo nakierowanej na ten cel polityki kulturalnej i edukacyjnej oraz praktyk medialnych). Dzieje się tak dlatego, iż kultury są nie tylko temporalne, trwające poprzez transmisje pamięci pokoleń w ludziach, ale także terytorialne, mają swoje święte miejsca, których nie da się zniszczyć i które w sprzyjających okolicznościach odżywają jak przydeptana trawa.

Jeśli rola kultur będzie coraz większa, znaczy to, że w krajach o bardzo dominującej większości grozi to marginalizowaniem mniejszości, zwłaszcza w krajach ze świeżą niepodległością. Jeśli w takich krajach jak Belgia czy Hiszpania nie doszło do secesji, to tylko dlatego, że jest tam więcej wolności dla „plemion”, które mogą realizować swe europejskie aspiracje. Na wschodzie kontynentu (w ZSRR i gdzie indziej) takiej wolności nie było, kraje te nie przeszły testu wolności – rozpadły się zanim pojawiła się szansa ułożenia na nowo relacji międzyetnicznych w warunkach społeczeństwa otwartego i gospodarki rynkowej.

Głęboka potrzeba ochrony kultury przez wspólnoty ludzkie jako znaku ich tożsamości, zwiększenia jej mocy przetrwania poprzez przekaz transgeneracyjny sprawi, że jednym z centralnych problemów kultury nadchodzących dziesięcioleci będzie pogodzenie obiegu globalnego z własnym, wspólnotowym wymiarem kultury, poczynając od kultury rodzimej, kultury „pierwszego kręgu”, która rodzi (formuje) człowieka poprzez inicjacyjny cykl transkultuacji. Sądzę, że większe szanse ochrony i rozwoju będą mieć kultury otwarte, o tzw. miękkim kanonie, dopuszczającym uniwersum, niż kultury o twardym kanonie, zamkniętym na to uniwersum. Tartuska szkoła semiotyczna nazywała te drugie binarnymi (bipolarnymi), nie dopuszczającymi wartości pośrednich w odróżnieniu od kultur tercjarnych, dopuszczających i akceptujących w aksjologii i estetyce „stany trzecie”. Drugie w zderzeniach kulturowych mają mniejsze szanse, bo brak im amortyzatorów, mechanizmów immunologicznych, jak to miało miejsce w przypadku kultur plemiennych zderzonych z europejską konkwistą. To jest problem znalezienia optymalnego punktu między granicą adsorpcji (chłonności), która zagraża kulturom naśladowczym a zamknięcia, grożącego kulturom etnocentrycznym.

W procesach społecznych nadal normą jest inkulturacja (zaszczepianie kultury rodzimej) oraz odrzucanie akulturacji (coraz trudniej kogokolwiek zasymilować). Multikulturalizm urastać więc będzie do rangi jednego z najważniejszych – obok rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, z czym zresztą będzie mieć ścisły związek – problemów zarówno polityki wewnętrznej wielu państw, jak i polityki międzynarodowej.

Widać gołym okiem, że w dzisiejszym świecie istnieje olbrzymia potencja zmian w strukturze państwowo-narodowej. W ciągu ostatniego półwiecza przybyło sto nowych państw, a więc niemal dwukrotnie więcej niż ich było tuż po zakończeniu II wojny światowej. Sto nowych państw to sto nowych tożsamości, a przynajmniej poszukiwania tych tożsamości, nieraz sztucznych i konfliktogennych.

Co to oznacza dla najbliższego nam otoczenia europejskiego w dalszej perspektywie? Otóż dynamika państwowo-narodowej architektury naszego kontynentu prowadzić będzie do czegoś, co można by określić jako „polisację” (od *polis*) Europy. Może się ona stać konglomeratem nawet kilkuset podmiotów (w niektórych przewidywaniach liczba takich podmiotów może być kilkakrotnie większa niż dzisiejsza liczba państw). Wśród nich oprócz państw narodowych znajdują się autonomiczne przestrzenie ekonomiczno-kulturowe (miasta, regiony, ziemie) szukające swej autonomii, ale także – po utwierdzeniu poczucia bycia sobą – integracji w szerszej skali oraz, jak wspomniano, bezpośredniej komunikacji z Brukselą bez „brokera” w postaci dawnych centrów politycznych, czyli stolic państw narodowych.

Czy z tych trendów bądź wektorów da się wyprowadzić jakąś *resultans*: wypadkową czy tendencję główną? Gdyby iść za radą Edgara Morina¹⁶ to należałoby z tego zrezygnować. I wielu rezygnuje posługując się kategoriami chaosu, katastrof, struktur dysypatywnych, procesów stochastycznych, wśród których jakikolwiek ład jawi się tylko jako przejściowa fluktuacja, „ład z chaosu”, jak samoorganizacja kryształów. Ale badacze ekstrapolujący procesy społeczne rzadko są wolni od takiej pokusy i szukają własnego paradygmatu. Dla Francisca Fukuyamy¹⁷ taką tendencją główną jest triumf liberalizmu, nazwany przezeń „końcem historii”; dla Samuela Huntingtona¹⁸ starcia między cywilizacjami. Kusząc się o identyfikowanie jakiejś wiodącej tendencji można by powiedzieć, że jest nią w skali globalnej pewien dualizm kulturowy – gra między dwoma warstwami kultury: globalizującą się kulturą technomenedżerską, która jest swoistą *lingua franca* dla świata oraz kulturami lokalnego habitatu i behawioru, nazywanymi przez Alexisa de Toqueville *habits of heart*, a przez Stuarta Halla ukrytym wymiarem – bezwiednymi regulatorami życia dającymi

¹⁶ E.Morin, *Pour sortir de vingtième siècle*, Paris 1981.

¹⁷ Por.: F.Fukuyama, *The End of History and the Last Man*, New York 1992.

¹⁸ Patrz: S.Huntington, *Clash of Civilizations*, „Foreign Affairs”, Summer 1993.

ludziom porękę i poczucie pionu. Między obu warstwami zachodzi stała wymiana, wymagająca raczej transkultuacji niż akulturacji. Ta wymiana sprawia, że kultura technomenedżerska jest wielobarwna, ujawniająca odcienie, ale pozwalająca jednak ludziom operować, jeśli nie tym samym, to podobnymi kodami.

To wiedzie mnie do konkluzji, że parafrazując McLuhana zamiast „europejskiej wioski” będziemy mieć raczej „wioski w Europie”, z których każda chce mieć własną twarz. Potrzeba uwyrażnienia tej twarzy przejawia się w tym, że wspomniane orientacje aktywności jednostek i całej wspólnoty stają się znowu – bardziej niż w społeczeństwie przemysłowym – inspirowane przez rdzeń własnej kultury. Dzieje się tak na przekór, a może właśnie dlatego, że świat staje się *mundus communicans*: teatrem intensywnej dyfuzji kultur (przeszczepiania wartości i instytucji z jednych warunków w inne). Tę potrzebę tożsamości wzmacniać będzie paradoksalnie rosnący multikulturalizm wszystkich społeczeństw, może w największym stopniu europejskich, który sprzyja gruntowaniu się poczucia odrębności.

Spór o kształt narodu między liberałami i lewicą z jednej strony a prawicą z drugiej, nabierający niekiedy cech wojny kulturowej czy cywilizacyjnej, toczy się dziś w wielu krajach europejskich. Pierwsi chcą ewolucji w kierunku narodu politycznego, drudzy instytucjonalizacji narodu etnicznego. W Polsce nakłada się to na główne kontury podziałów politycznych. W Europie Zachodniej zarówno lewica oraz liberałowie, jak i znaczna część prawicy już dawno wzięły kurs na naród obywatelski, zaś prawica nacjonalistyczna pragnąca narodu etnicznego była raczej marginesem. Dziś jednak w takich krajach jak Francja bądź Austria już nim nie jest. Siły zgrupowane wokół postaci Le Pena czy Haidera nie są z pewnością marginesowe.

Procesy integracji europejskiej będą więc raczej konsolidować grupy etniczne, gdyż, o czym była już mowa, jest to kwestia tożsamości w wielobiegowej Europie. Narody obywatelskie mogą słabnąć, bo słabnąć będzie ich instytucjonalizacja w postaci państwa narodowego (czego przejawem jest m.in. przejmowanie przez organy Unii Europejskiej niektórych jego kompetencji). Zatem jeśli rozszerzać się będzie europejska przestrzeń administracji i zarządzania (*European governance*) kosztem przestrzeni państwowych, to już samo w sobie będzie czynnikiem utwierdzenia narodowej przestrzeni kulturowej. Można zatem powiedzieć, że powiększaniu się zintegrowanej europejskiej przestrzeni ekonomicznej i politycznej nie będzie raczej towarzyszyć ekspansja wspólnego mianownika kulturowego.

Europa stanie się swoistym patchworkiem kultur rodzimych. Jeśli one w pełni odżyją po dekadach zamrożenia, to na kontynencie, zwłaszcza jego wschodniej części, możemy ich mieć bez liku.

4. Nowe pogranicza europejskie

Etnourbia. Pogranicza etniczne już nie są tylko tam, gdzie są granice, chyba że użyjemy pojęcia granicy metaforycznie, jako linii dzielącej ludzi. Historyczne pogranicza etniczne utraciły już dawno monopol na bycie pograniczami. Z nimi w istocie, poza nielicznymi wyjątkami, nie ma kłopotów. Napięcia etniczne nie wykraczają ponad poziom anegdoty o sąsiadach.

Więcej problemów mają państwa Unii Europejskiej z nowymi pograniczami. Migracje drugiej połowy XX wieku doprowadziły do tego, że obszary ze wszystkimi charakterystykami pogranicza znalazły się w interiorach wielu krajów europejskich i pozaeuropejskich, zwłaszcza w sąsiedztwie wielkich metropolii. W wielu dzielnicach Paryża, Londynu czy Berlina są to już nie tyle suburbia, co etnourbia. W odróżnieniu od starych regionów pogranicznych, które w rozwiniętej Europie pozostają w relacji centrum-centrum, nowe suburbia mają cechy relacji centrum-peryferie, gdzie „etniczny” znaczy „biedniejszy”. Ponieważ procesy migracyjne będą się nasilać (obecnie, jak się szacuje, około 400 mln ludzi w skali globu nie zamieszkuje na stałe w miejscu swojego urodzenia), oznacza to, że etnourbiów w wielkich metropoliach będzie przybywać i potęgować się będzie skala wieloetnokulturowości.

Korzystną okolicznością, która może pomóc w znalezieniu rozwiązań tego problemu są pewne spontaniczne procesy. W drugim, a zwłaszcza trzecim pokoleniu pojawia się potrzeba reterytorializacji własnych symboli w obcej kulturowo przestrzeni. Taką rolę może odegrać meczet czy kościół (znamy to z filmu „Sami swoi”, gdzie swojska kultura przywieziona przez Pawlaków bądź Karguli stawała się terytorialna, a przestrzeń oznakowana na nowo przez nowe miedze). Rodzi to pozytywną zmianę mentalną. Władze krajów zachodnio-europejskich wspierają tę potrzebę reterytorializacji (mogą sobie na to pozwolić, mają ku temu środki). Dlatego wyburza się zamieszkane przez imigrantów i ich rodziny blokowiska oraz funduje się tanie domy, w których mieszkańcy czują się na swoim, a nie u obcych. Kultura *logos*, „w ludziach”, znajduje w ten sposób porękę w zrekontekstualizowanym terytorium, *topos*. Ludzie czują się bardziej odpowiedzialni za wspólnotę, w której żyją.

Niekiedy takie obszary się rewitalizuje dzięki wielkiej inwestycji społecznej czy kulturalnej, jak to miało miejsce w biedniejszej, etnicznej dzielnicy w Londynie, gdzie zafundowano „New Tate Gallery” w starych obiektach przemysłowych. Jeszcze bardziej spektakularny sukces odniosło nowe Muzeum Gugenheima w Bilbao, dzieło Franka Gehry’ego. Sukces artystyczny takiego przedsięwzięcia jest ważny, ale jeszcze istotniejsze są korzyści społeczne: partnerstwo biznesu i sztuki, które w przypadku Bilbao przyniosło pożądaną kosmopolityzację (napływ turystów zagranicznych) monoetnicznego pejzażu stolicy Kraju Basków wstrząsanej od lat konfliktami. To natychmiast podnosi

rangę tego fragmentu miasta i przyciąga kapitał, a także skłania do osiedlenia się średniej klasy, artystów, intelektualistów itp.

Jaka będzie przyszłość tych nowych pograniczy, trudno jeszcze dziś powiedzieć. Raczej nie wtopią się w kulturę większościową, dziś bowiem – powtórzę – nikt nikogo nie jest w stanie asymilować i akulturować.

Pogranicza i multikulturalizm etnocentryczny. Można dziś mówić o dwóch różnych pod względem charakterystyki socjologicznej tendencjach „produkowania” pograniczy i wielokulturowości. Jedna z nich ma charakter etnocentryczny, *dżihadowy*, druga kosmopolityczny, *McŚwiatowy*, by posłużyć się znanymi określeniami Benjamina Barbera.¹⁹

Pierwsza jest kontrreakcją na globalizację i dotyczy raczej obszarów biednych, które na niej tracą. Okazuje się bowiem, że wcale nie musi być tak, iż im więcej globalizacji, tym więcej kultury globalnej. Jest to prawidłowość psychologiczna, zgodnie z którą im więcej globalizacji odrywającej wytwórczość, politykę, kulturę i wartości od własnego podłoża, tym więcej ucieczki we własne normy, tym więcej w istocie relatywizmu, a nie uniwersalizmu. (Chyba że przyjmiemy, iż ten relatywizm jest w istocie uniwersalny i taka sprzeczność logiczna jest na gruncie postmodernizmu całkowicie uprawniona.)

Globalizacja wręcz napędza nacjonalizm i etnocentryzm, a dokonuje się to paradoksalnie przy jednoczesnym słabnięciu prymatu narodów oraz erozji lokalnych kultur i tradycji przez kulturę globalną. Gdy się niszczy jedne elementy swoistości, rozrywa się tkankę społeczną, degraduje kulturowe systemy adaptacji, odrywa wytwórczość od własnego podłoża, od sieci relacji socjokulturowych, gdy słabnie suwerenność państwa, a granice stają się symbolicznymi liniami na mapie, to do głosu dochodzą znaki kulturowe, symbole, jako linie papilarne, coś co ma się na własność i co nie zlewa się w jedną globalną magmę. Na to zwracał już uwagę Karol Polanyi w *Wielkiej Transformacji*.²⁰ To wydaje się kluczowe dla zrozumienia obecnej amplitudy globalizacja-partykularyzacja; tego zwłaszcza, że globalizacja nie jest jednowektorowa.

Pogranicza ponowoczesne (późnonowoczesne). Ta tendencja zmierza do rynkowego dyskutowania pogranicza i multikulturalizmu, wmontowania ich w procesy globalizacji i wpuszczenia w obieg międzynarodowej kultury. Jest to efekt rynku i wolności transferów wszelkiego rodzaju. Słabnie uniformizm w sposobach życia czy po prostu bycia. Ludzie nie chcą jednego, miejskiego czy podmiejskiego stylu. Odmienne obrazy, style życia, marki produktów itp., które wywołują ekscytację i zainteresowanie znajdują drogę na rynek.

Nowymi pograniczami kulturowymi stają się centra globalne. Na tych obszarach „*podróżowanie, mobilność siły roboczej, rozwinięta technologicznie*

¹⁹ B.R.Barber, *Dżihad kontra McŚwiat*, Warszawa 1997.

²⁰ K.Polanyi, *The Great Transformation. The Political and Economic Origins of our Time*, Boston 1962.

*komunikacja gwałtownie zacierają granice narodowe, kreując nasilający się kosmopolityczny etos kulturowej różnorodności, wraz z rosnącą liczbą enklaw <pozbawionych etnicznych i kulturowych granic> tożsamości. Populacje metropolitalne doświadczają dramatycznego różnicowania się, gdyż grupy o różnorodnym pochodzeniu etnicznym migrują w kierunku nowych rynków pracy i nowego otoczenia społecznego krajów rozwiniętych. Jako część tego procesu, znacząco rośnie liczba ludzi, głównie robotników ale również wysoko kwalifikowanych specjalistów i menadżerów oraz personelu technicznego i naukowców. Wszyscy oni przekraczają kulturowe granice z nie-zachodnich w stronę zachodnich społeczeństw. Konsekwencją tego jest rosnąca różnorodność i fragmentacja tożsamości, szczególnie wśród migrantów stających w obliczu intensywnych doświadczeń nowego kraju i różnic kulturowych, ale również wśród ludzi żyjących od pokoleń na Zachodzie, stających w obliczu nowych rodzajów i amalgamatów kultur imigracyjnych”.*²¹

Ta tendencja rodzi, zwłaszcza w młodym pokoleniu, choć niewyłącznie, multikulturalizm ponowoczesny. Najnowsze analizy w krajach wielokulturowych przynoszą całkiem nieoczekiwane wyniki, które pokazują zmieniające się oblicze multikulturalizmu. W Stanach Zjednoczonych do wielokulturowości przywiązuje się taką wagę, że niekiedy przekształca się ona w histerię i budzi obawę przed rozdrobnieniem społeczeństwa. Jednak, na co zwraca się także uwagę, pojawia się inna natura multikulturalizmu i tożsamości w społeczeństwie przemysłowym. W społeczeństwach tradycyjnych jest to sprawa tożsamości pierwotnej, w społeczeństwie przemysłowym – nowoczesnego nacjonalizmu państwowego. Wielokulturowość była zepchnięta na margines w imię integracji narodowej; dziś odżywa, ale w innej formie. Ludzie tak naprawdę nie chcą być inni, pragną raczej uznania swej odmienności w sferze symboliki, rekompensaty za dawne dyskryminacje. W rzeczywistości meksykańsko-amerykański polityk walczący o dwujęzyczność często nie mówi poprawnie w swym języku. Zaś ten, który domaga się odrodzenia literatury i tożsamości żydowskiej nie zna lepiej jidysz niż jego dziadowie, raczej w ogóle go nie zna. Niezależnie od grupy etnicznej wszyscy konsumują tę samą kulturę, są uczestnikami tej samej kultury popularnej i potrzebują tylko alibi, że są inni (stąd inaugurowanie sesji Kongresu modlitwami czytanyimi przez rabinów). Znaczyłoby to, że dla tych ludzi, przede wszystkim elit, ale nie tylko, głębinowa staje się nie stara tożsamość, a nowa zdekonstruowana, która z poprzedniej czerpie jedynie symbolikę, pomaga w samoportretowaniu się przez język czy religię.

²¹ R.G.Dunn, *Identity Crises, A Social Critique of Postmodernism*, University of Minnesota Press 1998, s.130-131(cyt. za: W.Wątroba, *Jasna strona globalizacji*, referat na Zjazd Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, Rzeszów 2000).

„Różnij się albo przepadnij” a problem spójności społecznej. We wstępie do *Krótkiej historii filozofii* R.C.Solomon i K.M.Higgins²² piszą: „*Nie istnieje centrum, a jedynie gwałtownie rozrastające się pogranicza*”. Każde społeczeństwo będzie w przyszłości bardziej wielokulturowe niż dotychczas. Czy owocować będzie to erupcją twórczości i płodności kulturowej czy plemiennymi konfliktami? Dotychczas mieliśmy jedno i drugie.

To stwierdzenie oddaje w pigułce procesy współczesnej kultury, które wiodą do radykalnej pluralizacji społeczeństw, czyli w istocie produkcji wszelkiego rodzaju pograniczy.

Opisane tu tendencje to legat, jaki pozostawił wiek XX swemu następcy. Synergiczny efekt rynku, wolności i techniki będzie dalej filtrował procesy kulturowe. Zmianie ulega wszystko: zmienia się natura państwa i narodu. Przez narody przebiegają nieznane wcześniej lub nieujawniające się linie kulturowe. Każdy naród staje się jakby wieżą Babel, traci wspólny kod komunikacyjny, coraz mniej zrozumiałe stają się dla wszystkich symbole. Czy jest on jeszcze wspólnotą, w którą każdy się „wradza”, czy też każde pokolenie musi na nowo negocjować, jak być narodem, jak chronić kulturę narodową? Tyle że coraz częściej ta wspólnota to nie jest już naród, a „nowoplemię”, jak je nazywa Michel Maffesoli.²³ Potrzebę tę zaspokajają wspólnoty subkulturowe, a także pęd ku tworzeniu nowych związków religijnych i ruchów wyznaniowych. Tu lokują się autorytety i wpływy.

Ostatnie dwie dekady w demokratycznych państwach wielokulturowych: USA, Kanadzie, Australii, a także krajach Europy Zachodniej upływały pod znakiem politycznie poprawnej batalii o maksymalizację różnorodności. To był priorytet polityki społecznej ostatnich lat. O rdzennych mieszkańcach Ameryki Północnej nie wypadało już mówić „autochtoni”, „tubylcy”, „aboryginały”. Stali się oni „*first nations*”.

Multikulturalizm rozwiązuje jedne problemy (m.in. daje poczucie dumy i tożsamości), ale komplikuje inne. Współczesny multikulturalizm to „zemsta” *Gemeinschaft* nad *Gesellschaft*. Tymczasem to społeczeństwo jest potrzebne, aby mieć jakieś narzędzia regulacji. Bez społeczeństwa politycznego, obywatelskiego grozi rozbitcie na bantustany, w których każdy będzie uprawiał własną etnodemokrację w swych plemionach. A to oznacza utratę wspólnego kodu komunikacyjnego. Tylko jak się tego ustrzec, gdy wszyscy chcą się różnić?

Postulat: „integrować obywatelsko, lecz nie unifikować kulturowo”, brzmi atrakcyjnie, ale przy obecnej dążności społeczeństw do pluralizmu jest trudny w realizacji. Problem sprowadza się do tego, czy da się pomieścić multikulturalizm w wyewoluowanym historycznie standardzie demokracji zachodniej i czy ten standard może być jeszcze zachodni. Do niedawna był to problem krajów

²² K.M.Higgins, R.C.Solomon, *Krótką historia filozofii*, Warszawa 1997, s.342.

²³ Por.: M.Maffesoli, *Le Temps de tribus*, Paris 1988.

imigracyjnych, ale teraz staje się problemem uniwersalnym, który dotyka także i Polskę. Nadchodzą czasy, w których wszystkie społeczeństwa będą żyć w cywilizacji o niespotykanej skali różnorodności.

Z takimi normami można żyć jedynie na obrzeżach społeczeństwa obywatelskiego. Alternatywą jest wspomniana inkluzja, ale narzucająca asymilację. Czyli *tertium non datur*. A może jednak *datur*? Zapewne nie da się tego rozwiązać w ramach tradycyjnego państwa narodowego, ale być może jest to realne w ramach integracji europejskiej. Cena jest jednak dość wysoka: osłabienie formuły państwa narodowego i pojawienie się nowych równoprawnych podmiotów. Oznaczałoby to dyferencjację Europy, w której każdy miałby własną normę kulturową. Nie byłaby to już czerpiąca z wartości uniwersalnych demokracja, a jakaś postać wspomnianej etnodemokracji. Każda wspólnota filtrowałaby bowiem po swojemu podstawowe wartości istotne dla demokracji: prawa człowieka, miejsce religii w życiu społecznym, relacje jednostka-władza czy jednostka-wspólnota. Etnodemokracja to w istocie żądanie decentralizacji władzy wedle kryteriów etnicznych. Chodzi zresztą nie tylko o etnodemokrację; pojawiają się inne fenomeny: etnokonsumpcja („swoją do swojego po swoje”), czyli maksymalna samowystarczalność w sferze konsumpcji i usług w ramach wspólnot, a także solidarność. Tam, gdzie jest ona ważnym elementem więzi, zwłaszcza we wspólnotach azjatyckich, nie ma np. żebractwa czy bezdomności, a jeśli jest, to ma charakter nie endo- a egzoetniczny.

Konkludując ten wątek trudno powiedzieć, że zaczął się odwrót od „terroru multikulturalizmu” na rzecz eksponowania spójności. Nie jest to jakiś nowy cykl, a jedynie dążność do zrównoważenia tych dwóch sprzecznych wektorów, a więc z jednej strony tendencji ku gettoizacji, a z drugiej – ku ogólnospołecznej spójności.

Zmieniająca się natura granic. Ponieważ pogranicze jest korelatem granicy, przeto zmieniająca się natura granic musi odmieniać także pogranicza.

Granice to czas (historia) wpisany w terytorium. Istniejące w Europie tendencje wiodą ku wykształcaniu się *soft borders* na obszarach zintegrowanych i *hard borders* między obszarem zintegrowanym i zewnętrznym. Stąd pogranicza w ramach UE już od dawna były inne niż w pozostałej części Europy i będą ewoluować być może ku tworzeniu się regionów transkulturowych o własnej tożsamości. Na zewnątrz Unii – i to dotyczyć będzie wschodniej Polski – będą się wykształcać na powrót „twarde” granice, co nie byłoby dla nas korzystne. Obowiązuje bowiem zasada, że im więcej kontroli wobec „innych” na granicach, tym mniej tej kontroli wewnątrz obszarów zintegrowanych. Psychologiczna obecność granic w Europie będzie nam jednak jeszcze długo towarzyszyć.

Pogranicza przednowoczesne są już w Europie nieliczne, na świecie jest ich jeszcze wiele i mają charakter międzyplemienny. W Europie średniowiecznej

nie było granic politycznych w dzisiejszym rozumieniu; były to granice między ziemiami należącymi do różnych koron, między obszarami zamieszkiwanymi przez poddanych. Bardziej się odczuwało obecność granic między mniejszymi przestrzeniami: dominiami, księstwami, hrabstwami. Nie było świadomości, że tu mieszkają Polacy a tam nie-Polacy, raczej miało się poczucie, że tu żyją katolicy, a tam ludzie innej wiary. To było obecne na kresach wschodnich bardzo długo, w niektórych miejscach do dziś (fenomen poczucia „tutejszości”). Dzisiejsze projekcje polskości Kopernika nie mają więc sensu. Państwo przednarodowe (feudalne) zasadało się na stanach i wspólnotach terytorialnych.

Dziś na obszarze Unii Europejskiej dochodzą do głosu fenomeny, które budzą odczucia *déjà vu*. Z logiki Średniowiecza widać recydywę regionalizmu i pograniczy regionalnych. Bretończycy i Normandczycy wyklócają się o to, do kogo należy perła architektury zakonnej Mont Saint Michel. Nie chodzi naturalnie o władanie terytorialne, a o korzyści z „przemysłu dziedzictwa”. To jest typowy spór pograniczny, który ma w tle regiocentryzm. Na miejsce znikającego pojęcia międzypaństwowości wchodzi logika interregionalizmu. Nie ma w tym nic z homogenizującego tygła, raczej z różnorodnej salaterki.

* * *

Po atakach terrorystycznych w 2001 r. pojawiały się postulaty, aby wreszcie zerwać z ekspiacją Zachodu, jego głowa jest już bowiem sina od popiołu. Te opinie pojawiły się po konferencji w Durbanie, a wzmocniły je niektóre bezkompromisowe wypowiedzi w stylu przyjętym przez Orianę Fallaci. Padają pytania, czy nadal mamy poprawnie politycznie utrzymywać, że wszystkie kultury są równe. Można usłyszeć, że to fikcja i że wmawiamy sobie w nią wiarę. W każdej kulturze są rzeczy dobre i potrzebne, zapewniają one ludom poczucie pionu i sensu, orientują w biegunach wartości w rozmagnetyzowanym świecie, w którym wiele sił przyciąga naraz, ale są też rzeczy potworne, utrzymujące wrogość, fanatyzm, barbarzyńskie obyczaje. Jeśli są to tylko pytania (rzadko jeszcze stawiane publicznie, częściej w kuluarach), to już to wystarczy, żeby zadać pytanie fundamentalne: jaka jest w XXI wieku szansa na dialog między kulturami, co trwałego dały ponadpółwieczne wysiłki ONZ, UNESCO i innych organizacji uniwersalnych na rzecz budowania dialogu między kulturami? Jeżeli byśmy odrzucili cały ten dorobek, to byłby najlepszy sposób na przekształcenie świata w rzeszę bantustanów, z czym nie poradziłyby sobie przyszłe pokolenia.